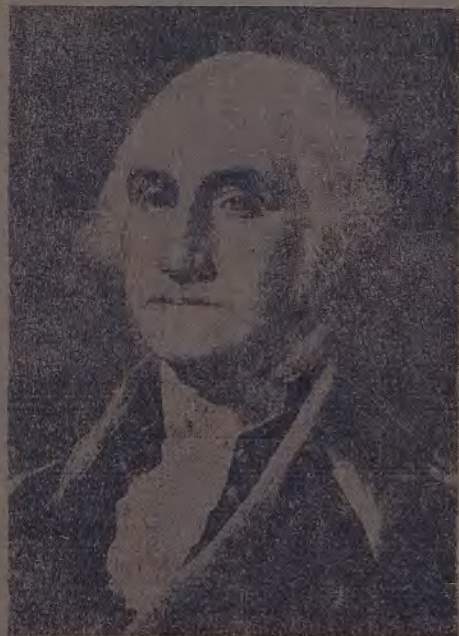




GEORGE WASHINGTON



* 22. II. 1732. † 14. XII. 1799.

GEORGE WASHINGTON

JERZY WASHINGTON

OJCIEC OJCZYZNY

TWÓRCA I PIERWSZY PREZYDENT
STANÓW ZJEDNOCZONYCH
PÓŁNOCNEJ AMERYKI

ŻYCIORYS

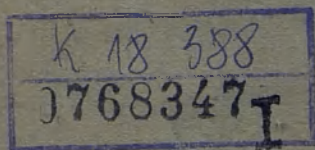
NAPISAŁ TOMASZ KOZAK



WYDAŁ A. A. PARYSKI, TOLEDO, OHIO

H III 86

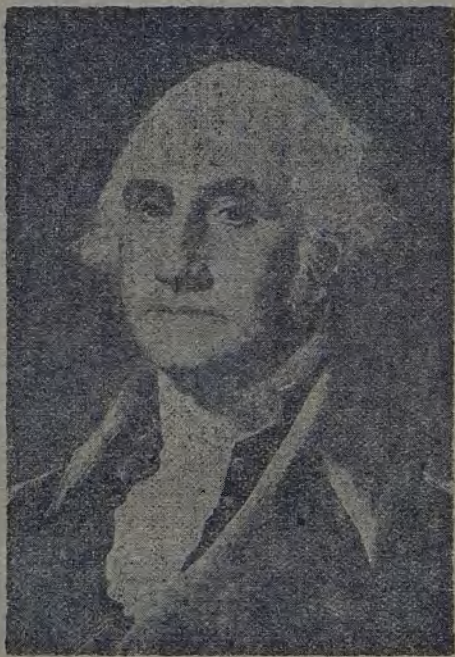
H III 7h



K-97/618
18.2. 3.000,-



GEORGE WASHINGTON



* 22. II. 1732. † 14. XII. 1799.

GEORGE WASHINGTON

*22. II 1732. †14. XII. 1799

Dzień urodzin Washingtona obchodzony jest uroczyście jako legalne święto we wszystkich stanach, terytoryach i posiadłościach Unii amerykańskiej. Kiedy niektóre inne święta narodowe nie są uznawane urzędowo w pewnych stanach z powodu historycznych, a nawet zwykle lokalnych uprzedzeń, w czci dla Największego Amerykanina, jak Washington bywa słusznie nazywany, łączy się zgodnie cały naród amerykański, odczuwając i wierząc, że cześć ta jest symbolem zarówno faktycznego powstania wielkiej Republiki, jak przedewszystkiem pamiątką tryumfu Niepodległości i Praw Człowieka nad monarchiczną i arystokratyczno - biurokratyczno - militarną ideą, która wszechwładnie panowała na świecie całym w chwili, gdy trzynaście amerykańskich kolonii przez swój Kongres Kontynentalny po-

wołało Jerzego Washingtona na wodza w wojnie przeciw królowi angielskiemu.

Święto Washingtona wyrasta przez to, ponad cześć oddawaną człowiekowi, do znaczenia wielkiego Symbolu Ludzkości, do uderzenia czołem przed Mężem Przeznaczenia, który historię świata pchnął na nowe tory, który narodu moc, energię i zapał potrafił zespolić w jedno potężne ognisko czynu, i który przez to innym świata narodom nieśmiertelnym testamentem przekazał obowiązek i umiejętność wyłamywania się z pod jarzma materyjalnej i duchowej tyranii.

Jerzy Washington, choć jest jednym tylko z szeregu wielkich ludzi, którzy położyli pierwsze podwaliny Stanów Zjednoczonych, choć w okresie rewolucji byli zdolniejsi od niego generałowie, bystrzejscy politycy i znakomitsi mężowie stanu, słusznie uważany jest przez historyków za właściwego założyciela i twórcę republiki. Dlaczego? Bo uosabia w sobie cnotę najwyższą i najkonieczniejszą, która miała się stać po-

tem źródłem i kluczem tajemnym rozwoju Stanów, mianowicie **niezlomną i nieustępliwą wytrwałość**, nie dającą się zniechęcić ani pobić chwilowemi niepowodzeniami, dążącą uporczywie i mądrze do naznaczonego celu, z klęsk i zawodów czerpiącą nie skłonność do ustępstw i odwrotu, lecz nową energię i zdolność uniknięcia już popełnionych pomyłek.

Nie był geniuszem Washington. Wielkiego dzieła niepodległości nie dokonał cudownie, przez jakieś błyskawicowe, miażdżące zwycięstwo na polu bitwy, ani przez mistrzowski rzut dyplomatyczny, ani przez tajny wpływ i urok, którym inni ludzie przeznaczenia umieli wielkie masy za sobą porywać i wieść dowolnie — na Kapitol czy Tarpejską skałę.

Washington nie tyle wywalczył, ile stworzył i ukształtował niepodległość, pracą mądrą i wytrwałą: dzień po dniu, miesiąc po miesiącu i rok po roku dokonywaną. Zdobył amerykańską niepodległość nie tylko na

Anglikach, lecz, co ważniejsze, na kłótności, niezaradności i zarozumiałości Kongresu, który psuł plany wojenne, na lokalnych egoizmach poszczególnych kolonii, kłócących się o handlowe przywileje, na zgubnych ambicyach, a nawet zdradzie podkomendnych generałów, na braku dyscypliny i poczucia obowiązku ze strony wojska. Zwycięstwo nad królewskimi armiami było świetnym, lecz zewnętrznym tylko tryumfem Washingtona. Właściwy jego tryumf odniesiony został nad rozbieżnymi siłami wewnątrz młodego amerykańskiego społeczeństwa, nad społecznymi grzechami, które tysiąc razy groziły ruiną i unicestwieniem wszystkich najszlachetniejszych porywów. Ten tryumf zasadniczy, to zwycięstwo, bez którego niepodległość nigdy nie zostałaby ziszczona, tryumf, który można słusznie nazwać "stworzeniem rzeczywistego narodu w czynie dla oderwanej niepodległości," wyniknął nie z geniuszu, nie z nadzwyczajnych Washingtona talentów, lecz wyłącznie z niezłomnej wytrwałości jego charakteru.

Wytrwałość i równy umysł w klęskach i zwycięstwach na drodze do powziętego celu wywalczyły niepodległość trzynastu amerykańskim koloniom i wytworzyły z nich wielki naród. Washingtonowi danem było stać się uosobieniem tej wytrwałości i umysłowej równowagi. Dlatego Washington jest faktycznym twórcą i założycielem Republiki, jest Pierwszym i Największym Republikaninem z ducha i z czynu. A znaczenie jego i zasługa są tem więcej epokowe, że potrafił tę zaletę wytrwałości wszczepić w naród amerykański jako zasadniczy probierz jego polityki. Charakter narodu amerykańskiego ukształcił się na tej washingtonskiej cnocie. Dzięki temu narodowemu charakterowi, dzięki nieustępliwej, konsekwentnej i wytrwałej energii, Amerykanie osiagnęli rozwój na wszystkich polach cywilizacji: niesłychany rozkwit ekonomiczny z równoczesnem wydoskonaleniem wszelkich sztuk i nauk, tudzież wielką potęgę państwową na zewnątrz, dającą Stanom prawo i obowiązek zabrać doniosły, jeżeli nie decydujący głos w areopagu ludów po światowej wojnie.

Pamięć Jerzego Washingtona, tego Ojca Ojczyzny nie tylko przez historyczne komplementy i apoteozę ze strony wdzięcznej potomności, lecz przez czyny rzeczywiste i nie ulegające ani krytyce ani zaprzeczeniu, żyje ciągle wśród amerykańskiego społeczeństwa i jest w niem ciągle świeża, ponieważ żyją i kwitną instytucje narodowe, przez Washingtona wprost, lub za jego czasów i z jego współudziałem powołane do życia.

Mieszkańcy Stanów Zjednoczonych, naród amerykański, słowem cała wielka Rzeczpospolita czci Washingtona, tak jak synowie, wnuki i dziedzice czczą drogiego i zasłużonego przodka, w pełni korzystając z jego bogatego dorobku, szczycąc się z jego zasłużonej sławy, oraz spełniając według jego woli wskazania zawarte w pozostałych po nim papierach.

Szczęśliwy jest pod tym względem naród amerykański! Bo przeszłość jego wiąże się organicznie w codziennem prywatnem i publicznem życiu z dzisiejszą rzeczywisto-

ścią, bo wielkie usiłowania jego przodków żyją, rozwijają się i przynoszą plon stokrotny. Bo ze czcią wskazując na twórców Republiki, naród ten z dumą może powiedzieć: **“Mądrze i dzielnie pomnażam ich spuściznę.”**

Prawie żaden z narodów świata nie znajduje się w tak szczęśliwem położeniu. Inne narody, prawie wszystkie utożsamione z odpowiedzialnościami państwami, albo zawdzięczają swą egzystencję krwawym i gwałtownym przewrotom wewnętrznym (Francya, Belgia) lub obcej interwencyi i zawikłanym międzypaństwowym intrygom (Włochy, państwo Bałkańskie), albo powstawały, przeobrażały się, podnosiły i upadały zależnie od kaprysu władców “z bożej łaski,” fatalnym łańcuchem przywiązane do historyi tej czy owej dynastyi. W szeregu wieków całych te ostatnie narody musiały często krwawo, a zawsze znojnje, walczyć o każdy kęs praw człowieczych, które im wreszcie rzucali miłościwi władcy, aby znowu zrabować je w sposobnej chwili. Nie miały te ludy swego

Washingtona, a pamięć założycieli ich państw zwykle krwią ocieka i znienawidzona jest we własnem społeczeństwie, jako symbol tyranii.

W dziwnem przeciwstawieniu do narodu amerykańskiego, a prawdopodobnie i do wszystkich narodów świata stoją w tym wypadku Polacy.

Przeszłość mają świetną, wielowiekową, jako naród i państwo. W szeregu królów i mężów publicznych wykazują imiona, mogące stanowić chlubę każdego, choćby największego narodu. Ich historia wymienia ludzi, których dzieła na polu oręża, nauki i sztuki wybiegają poza narodowe szranki i wazą dodatnio na szali losów i cywilizacyi całej ludzkości. A jednak Polacy nie mają swego Washingtona, nie dane im jest uznać ani cześć kogoś z przodków jako "Ojca Ojczyzny."

Nie dlatego tylko, że pomimo całej skarbnicy dziejów Polska straciła byt polityczny i żadnych tryumfalnych rocznic bez

krwawej ironii obchodzić nie może. Ani nie przez to, aby w przeszłości nie miała mężów, przerastających Washingtona pod wielu względami. Tu w grę wchodzi dwa inne powody.

Pierwsze, ponieważ cały ciąg dziejów Polski politycznej wypełniony jest czynami ludzi, którzy choć się uważali za reprezentantów "narodu," byli tylko rzecznikami i przedstawicielami uprzywilejowanych klas społeczeństwa (magnatów, duchowieństwa, szlachty).

Powtóre, gdyż w najszlachetniejszych wysiłkach 18 i 19 wieku, gdy już do narodu całego apelowano, aby podnosił z gruzów gmach Rzeczypospolitej, był zapał, było poświęcenie, była ofiarność, lecz w nikim, ani w przewodcach, ani w samym narodzie, nie było zasadniczej cnoty washingtonskiej: wytrwałości i równowagi ducha.

Historja, ta mistrzyni życia, na to jest ludziom przypominana, aby z rozpamiętywania własnych przeszłości braków i obcych powodzeń, czerpali mądrość obecnego i

przyszłego życia. Dzień Washingtona może Polakom w tym kierunku nieobliczoną przynieść korzyść. Z żywota amerykańskiego Ojca Ojczyzny powinni Polacy, powinna przedewszystkiem emigracya nasza, rzucona w pogoni za chlebem na gościnny brzeg tu-tejszy, uczyć się, jakie to zalety są nieodzowne przy pracowitem budowaniu niepodległego narodu. Ta nauka historii Washingtona może kiedyś znajdzie praktyczne zastosowanie i na naszej polskiej ziemi, może polskiemu narodowi oszczędzi sporo zawodów i rozczarowań przeszłości.

Dlatego, zarówno dla uczczenia bohatera Wielkiej Rewolucyi, historycznego patrona kraju, pod którego świetnym sztandarem żyjemy, jak dla pożytku i nauki rodaków podajemy treściwe sprawozdanie z życia Washingtona, na historycznem tle wojny o niepodległość. Ponieważ życie jego wplecione jest nieodłącznie w dzieje Stanów, biograf musi często odbiedz od ścisłego przedmiotu, aby tło silniej uwypuklić. Lecz i bio-

grafia i historia uzupełnić się w końcu muszą. Obie zleją się jedną strugą surowego metalu we wspólną formę, aby utworzyć skromny, lecz oby prawdziwy pomnik Jerzego Washingtona.

O życiu Washingtona tomy całe spisano w literaturze całego świata, zwłaszcza w literaturze amerykańskiej. Przy naszej monografii korzystamy z bardzo treściwie i trafnie wybranych szczegółów biograficznych, pióra dwóch pod tym względem może najkompetentniejszych ludzi, bo profesorów amerykańskich uniwersytetów: Aleksandra Johnstona z Princeton, N. J., i Claudyusza Halstead Van Ryne z uniwersytetu Michigan.

Jerzy Washington urodził się na dziedzicznej rodzinnej posiadłości czyli "Homesteadzie" "Bridges Creek," w wirgińskim powiecie Westmoreland, w dniu 22 lutego 1732, jako syn zamożnej i starej rodziny osadników. Jeden ze śmiałych genealogów szuka przodków Washingtona aż w

mitycznych czasach Odyna, inny wywodzi ród jego od szlachejnych Washingtonów z angielskiego Northumberlandu lub z Durham. Wszystko to są mniej lub więcej dziwaczne i nieprawdopodobne przypuszczenia. Ścisłejsze badanie odkrywa szereg przodków pierwszego amerykańskiego prezydenta tylko od jego pradziada, Johna Washingtona, który się osiedlił w Virginii w 1657 roku. Syn tego pierwszego amerykańskiego Washingtona, Lawrence, miał troje dzieci: Johna, Augustyna i Mildred. Augustyn Washington był żonaty dwukrotnie i pozostawił dzieci dziesięcioro, mianowicie: z pierwszego małżeństwa z Jane Butler czworo, z których Lawrence i Augustine starszego doczekali wieku, oraz z małżeństwa drugiego (z Maryą Bell) sześcioro, a to George, Betty, Samuel, John, Augustine, Charles i Mildred. Przy śmierci ojca George, czyli Jerzy, miał zaledwie lat dwanaście. Syn pierworodny, a starszy brat Jerzego, Lawrence, odziedziczył przeważną część ojcowskiego majątku, zna-

na potem pod nazwą Mount Vernon. Młodszy Jerzy otrzymał częśćkę nieznaczną stosunkowo, niedaleko Fredericksburga. W każdym razie, pomimo zwykłego w owych czasach obciążenia dziedzictwa na rzecz pierwородnego, majątkowe stosunki pozostałej rodziny, w tem Jerzego, wcale nie były poślednie. Zmarły Augustyn był człowiekiem więcej niż zamożnym. Posiadłości jego składały się z wielkich plantacyi tytoniu, uprawianych przez liczne tłumy czarnych niewolników. Rodzina Washingtonów i wtedy i później zaliczała się dzięki majątkowemu stanowi-sku do kolonialnej angielskiej arystokracji. Dzięki temu właśnie starszy brat Jerzego, Lawrence, łatwo wszedł do arystokracji rodowej, poślubiając córkę lorda Fairfax, którego wielkie posiadłości rozciągały się niedaleko ziem Washingtona.

Z pierwszej młodości, a raczej z dzieciństwa Washingtona, żadnych znaczących zdarzeń nie notuje biograf. Są z tego czasu tylko anegdoty, o autentyczności bar-

dziej niż wątpliwej. Wiadomo bowiem, że usłudni i patryotyczni pisarze z reguły życie swych i narodowych bohaterów upiększają pięknymi bajeczkami, które służą do lepszego uwypuklenia zalet charakteru, kształtującego się niezwykle już w dzieciństwie przyszłych wielkich ludzi.

Chłopięce lata Washingtona niczem się nie różniły od życia innych chłopców z zamożnych virgińskich rodzin. Polowanie, rybołówstwo, drobne epizody plantatorskiego gospodarstwa, wreszcie nieco nauki — oto treść tych lat bez troski. Wykształcenie Washingtona było tylko elementarne i bardzo na ogół niedostateczne. Jedynie w matematyce młodzieniec poczynił znaczne postępy, głównie dzięki gorliwemu samouctwu. Z późniejszej Washingtona korespondencji można wnosić, że ortografię, gramatykę i retorykę posiadał piszący w wysokim stopniu. I tu jednak zachodzi mała niedokładność. Stwierdzono mianowicie, że wydawca pism Washingtona, Jared Sparks, widocznie powodo-

wany patryotycznym pietyzmem, poprawił i “wygładził” te listy, usuwając z nich wszelkie językowe usterki. Skutkiem tego z pismowych nie można mieć obrazu wykształcenia Washingtona w tamtych czasach.

Dopiero od 1748 roku zaczynają się ściślejsze daty z życia Washingtona. W tym roku spotykamy go w rezydencji brata (Wawrzyńca), który był jego prawnym opiekunem i człowiekiem możnym, bo zięciem lorda Fairfaxa. Między wpływowymi przyjaciółmi starszego Washingtona znajdował się także admirał Vernon, na którego cześć właśnie rezydencya Washingtonów nazwana została Mount Vernon. Przez tego to admirała wyjednano dla młodego, zaledwie 16-letniego wówczas Washingtona rangę kadeta marynarki. Były wielkie plany, aby młodzińca skierować do kariery marynarskiej w służbie króla Anglii. Lecz rzecz cała spała na panewce wskutek bezwzględnego oporu matki, która za żadną cenę przyszłych dostojęństw nie chciała Jerzego wystawiać

na niebezpieczeństwa żeglarskiego życia. Mundur kadecki powędrował tedy do kufra, a Jerzy wziął się do zawodu o wiele spokojniejszego. Został miernikiem we wielkich posiadłościach lorda Fairfaxa i z urzędu wykreślał i wytyczał granice jego ziem w Virginii. Przez trzy lata zajmował się Washington miernictwem, spędzając większość czasu wśród dziewiczych lasów, wogóle na otwartem powietrzu, zdobywając bystry zmysł o-ryentacyi, ten naturalny instynkt właściwy ludziom przebywającym w bezpośredniem zetknięciu z naturą. Życie to wywarło także wspaniały wpływ na fizyczny rozwój młodzieńca. Washington wyrósł na prawdziwego wielkoluda. Wzrostu miał 6 stóp i 3 cale, wagę średnią 220 funtów, zbudowany był potężnie. La Fayette pisał potem spotkawszy go po raz pierwszy, że w życiu całym u nikogo nie widział rąk tak ogromnych, jak u Washingtona.

Bystrość umysłu i siła młodego miernika wzbudzały widocznie już wcześniej szacu-

nek i uznanie. Kiedy bowiem zanosilo się na wojnę z Francuzami i sprzymierzonymi z nimi Indyanami (1752), Jerzy otrzymał dzierzony przedtem przez brata stopień majora w virgińskiej milicyi. W tym samym roku zmarł Lawrence po dłuższej chorobie, zapisując Jerzemu posiadłość Mount Vernon. W roku następnym, Jerzy zaledwie doszedłszy do pełnoletności, mianowany został przez nowego gubernatora Dinwiddie dowódcą całego północnego dystryktu Virginii.

Wojna z Francuzami i Indyanami o posiadanie całej przestrzeni nad jeziorem Erie, tudzież między rzekami Mississippi i Allegheny rozpoczęła się na dobre w roku 1753. Gdy Francuzi osadzili 1,500 żołnierzy na wyspie Presque i fort tam zbudowali, gubernator wysłał Washingtona na północ jako parlamentarza, aby Francuzów nakłonił do ustąpienia ze spornego terytorium. Misya nie odniosła skutku. Washington tyle jednak dokazał, że wśród ostrej zimy, przez nieprzebyte lasy, wśród tysiąca niebezpie-

czeństw ze strony Indyan, potrafił wrócić do Virginii. W wojnie potem brał znaczny udział jako dowódca wojsk virgińskich (mianowany w 1755, mając lat 23). Towarzyszył generałowi Braddockowi w fatalnej wyprawie, która skończyła się zupełną klęską Anglików w pobliżu fortu Duquesne. Tylko dzięki nadzwyczajnej odwadze i zimnej krwi potrafił Washington ocalić i odprowadzić do Virginii niedobitki z dwutysięcznej angielskiej kolumny. Pomimo bezustannego narażania własnego życia, wyszedł z wyprawy całkiem bez szwanku, choć większość amerykańskich i angielskich oficerów poniosła wówczas rany lub poległa z rąk Indyan. W następnych dwu latach Washington dokazywał cudów w wojnie partyzanckiej, kiedy mając do rozporządzenia zaledwie 700 ludzi osłaniał przed najazdem i zniszczeniem przeszło 350 mil granicy. Dopiero w roku 1758 przysłali Anglicy wielką armię pod generałem Forbes. Washington w tej wyprawie prowadził straż przednią. Fort Duquesne został zdobyty i przemianowany na

Fort Pitt. Padł także Quebec w Kanadzie, Francuzi stracili ostatnią placówkę w północnej Ameryce. Wojna dla Virginii została całkiem zakończona.

Okryty pierwszymi wojennymi laurami, Washington wrócił w zacisze domowego życia. Poślubił bogatą wdowę, panią Custis i osiadł w Mount Vernon.

Przez następne dwadzieścia lat życie Washingtona było przeciętnem bytowaniem typowego plantatora tytoniu w Virginii. Był czynnym i żarliwym członkiem episkopalnego kościoła, właścicielem wielu tysięcy niewolników, panem surowym lecz sprawiedliwym, gospodarzem i ekonomistą, szczyjącym się powszechnem zaufaniem. Małżeństwo pomnożyło jego majątek o przeszło sto tysięcy dolarów, co na owe czasy prawdziwie magnacką stanowiło fortunę.

Pamiętniki spisywane w tych czasach przez Washingtona wykazują bardzo konsekwentne zajmowanie się gospodarstwem i bardzo obszerną korespondencję z wybitny-

mi mężami wśród Kolonii. Nic jednak w tych dyaryuszach nie zapowiada przyszłej wielkości pierwszego prezydenta. Jak było z Abrahamem Lincolnem, Washington nie urodził się człowiekiem nadzwyczajnym, lecz przeciętnym. Wielkim stawał się w okresie ogniowej próby. Wielkim uczyniły go obowiązki cięższe, niż miał jakikolwiek człowiek współczesny do spełnienia. Wielkość jego zresztą polega głównie na sposobie, w jaki obowiązki te epokowe potrafił i chciał wypełnić.

Jak inni członkowie kasty panującej w Virginii, Washington był kilkakrotnie wybierany do virgińskiej legislatury, lecz historia nie przekazała nam żadnych jego czynów ustawodawczych, prócz przeciętnych wyrażań opinii o różnych bieżących kwestiach lokalnej wagi. Widać jednak z listów, że Washington uważał swą legislatyczną praktykę za dobrą szkołę publicznego życia i interesował się nadzwyczajnie ówczesnymi krajowymi wypadkami, np. słynną filadelfijską

rezolucją przeciw importowi angielskich towarów (1769 r.), którą uważał już wówczas za źródło krwawego konfliktu w przyszłości. W legislaturze Virginii Washington należał do najradykalniejszej opozycji przeciw gubernatorowi królewskiemu i nawet odradzał pisanie petycji do króla lub parlamentu, twierdząc, że petycye nic nie pomogą, gdyż rząd królewski opiera się na fałszywie stosowaniem prawie.

Nadszedł rok 1774, rok w historii amerykańskiej epokowy, bo rok wyboru członków pierwszego Kongresu Kontynentalnego. Epokowy jeszcze dlatego, że wśród siedmiu delegatów do Kongresu Virginia wybrała także Jerzego Washingtona. W roku 1774 wychodzi więc Washington na szeroką arenę dziejów.

W Kongresie Kontynentalnym (10 maja 1775) Washington był pierwszym z delegatów, którzy sobie zdawali pełną sprawę z przygotowujących się wypadków. W jednym z ówczesnych jego listów czytamy, że "wię-



cej krwi się przeleje, niż historia dała kiedykolwiek przedtem przykład w rocznikach Północnej Ameryki." Towarzysze Washingtona w Kongresie natychmiast uznali jego militarne zdolności. Jednogłośnie też powierzyli mu kierownictwo pierwszemi przygotowaniem do zbrojnej z Anglią rozprawy. W przerwach swego posłowania do Kongresu Washington gorliwie zabiegał kolo formowania, ekwipowania i ćwiczenia wojska w Virginii. Było powszechne mniemanie, że w razie wybuchu wojny nikt inny, tylko Washington obejmie naczelne dowództwo wojsk kolonialnych.

Najsilniejszymi militarnie były wówczas kolonie Massachusetts i Virginia. Wojna, jak wiadomo, wybuchła w Massachusetts, gdzie zaszły utarczki pod Concord i Lexington. Wojska Nowej Anglii wystąpiły przeciw Anglikom. Chodziło jednak o zapewnienie im pomocy południa, co najlepiej było zrobić przez postawienie południowca na czele całego ruchu. Wzrok wszystkich dele-



Statua Washingtona w Muzeum Sztuk Pięknych
w New Yorku.

gatów z Nowej Anglii skierował się na Jerzego Washingtona. John Adams z Massachusetts postawił jego nominację, a Kongresu chwalił ją jednogłośnie.

Z nadzwyczajną skromnością przyjął Washington naczelne dowództwo, oświadczając "wobec wszystkich panów zebranych," że nie uważa się za dorosłego do tego stanowiska, lecz przyjmuje je jako obowiązek nałożony jednogłośnym wyborem. Wyznanie to Washingtona było szczerem zupełnie. Powtarzał je bowiem niejednokrotnie w listach do żony i nie ulega wątpliwości, że wielki ten człowiek do śmierci samej bardzo sceptycznie patrzył na swe uzdolnienie do wysokich godności, na jakie go powołano.

W dniu 19 czerwca 1775 Washington otrzymał formalną nominację na głównodowodzącego wojskami Kolonii. Dnia 2 lipca przybył do Cambridge, Mass., i objął faktyczne dowództwo nad siłą zbrojną, zebraną tam przeciw angielskiemu garnizonowi w Bostonie. Było to już po bitwie pod Bunker

Hill i walki bezpośrednio nie toczono prawie aż do wiosny 1776. Czas ten zużył Washington na zaprowadzenie w luźnych gromadach kolonialnych wojaków bodaj cienia jakiegś wojskowej dyscypliny. Musiał przysiętem rozpaczliwie kołatać o amunicję i wojenne zapasy, prowadzić w tym celu rozległą i denerwującą korespondencję z Kongresem i pojedynczymi gubernatorami. Musiał też zwracać baczną uwagę na rozwój kampanii w innych częściach kontynentu, stwarzać, prawdziwie z niczego, system militarny i wojskową organizację osadników, których jakikolwiek przymus zniechęcał, a często nawet oburzał.

Zima 1775-go roku była prawdopodobnie najcięższym okresem w życiu Washingtona. Przeżywszy ją, stał się człowiekiem żelaznym, zahartowanym na wszelkie zawody, kalumnie, nawet zdrady od swoich współobywateli. Stosunki były straszne. Ubóstwo, prawie nędza w Koloniach, ciągle niesnaski i zaburzenia niekarnych żywiołów, samo-

lubstwo i głupota objawiane nawet przez ludzi skądinąd najpatryotyczniejszych, — wszystko to mogło złamać człowieka najsilniejszego charakteru. Lecz Washingtona nie złamało. Ześlizgnęło się po jego wytrwałości, jak strzała po gładkiej stali puklerza. Przejścia te uzupełniły przygotowanie prawdziwej wielkości Washingtona. Przybywając do Cambridge, Washington był przeciętnym virgińskim Gentlemanem. W chwili wypędzenia Anglików z Bostonu, w marcu 1776, ten sam Washington był generałem i mężem stanu — wielkim w całym tego słowa znaczeniu. Od tego czasu aż do śmierci był on też uznawany bezspornie za największego człowieka na amerykańskim kontynencie.

Lecz dla uwypuklenia sytuacji cofnijmy się jeszcze do 2 lipca 1775, do dnia przybycia Washingtona pod Boston.

Armie, którą miał dowodzić, Washington według własnych słów znalazł podobniejszą do zbrojnego tłumu ("armed mob"), niż do wojska. Prawda, że ludzie ci, dzielni

i przejęci szczerym patryotyzmem, dokonali znacznych rzeczy, były to jednak powodzenia przypadkowe, dorywcze, pozbawione wszelkiego militarnego planu. Dokoła Bostonu rzucono surowe linie fortyfikacji oblężniczych, bardzo niedostateczne, bez planu i bez pojęcia o wojskowej technice. Inżynierów wojskowych wcale przytem nie było, ani nawet odpowiednich technicznych narzędzi. O zaopatrzenie wojska w żywność i amunicję zabiegało kilku oficerów, lecz bez jednostajnego kierownictwa, każdy na własną rękę. Nie było zaś ani jednego zdolniejszego oficera do zajęcia się rekrutacją lub musztrą, nie było ani baraków ani szpitali żołnierskich, brakło nawet uregulowanej wypłaty żołdu. Mundurów żadnych wojsko to nie miało, a groteskowe ubiory żołnierzy z różnych Kolonii obudzały tylko zarozumiałość, zazdrość i w następstwie jeszcze większe rozprzężenie. Wszystkiego brakło, co regularną armię musi odróżniać od zbrojnej zbieraniny.

Z taką siłą zbrojną Washington miał walczyć, co więcej, — miał pobić armie Anglii, najpotężniejszego mocarstwa ówczesnej doby. A przecież nie upadł na duchu ani przez chwilę. Przez wyteżenie wszystkich kwalifikacyi administracyjnych, powoli potrafił swoich kolonialnych wojaków przemienić w coś, przypominającego armię od biedy. Podziały na tych ludzi jego nadzwyczajne w owym wypadku zalety, mianowicie pedantyczna dbałość o drobnostki, metodyczność i punktualność. Organizacya militarna rozpoczęła się i postępowała. Były wprawdzie wypadki wymykania się od służby dla zmyślonej choroby, albo dezercye, nawet sporadyczne konspiracye i bunty żołnierskie, lecz całość obozu wchodziła w tryby militarnej maszyny. Anglicy w Bostonie ani nie przeczuli nigdy, że "oblęgające" ich wojsko Washingtona niejednokrotnie blizkie było rozprysnięcia się na luźne watahy. Cudów administracyi i organizacyi dokazywał Washington. Kiedy w grudniu upływał termin służby przeważnej liczby ochotników,

naczelny wódz potrafił, jak sam powiada, dokonać rzeczy największej: rozwiązał jedną armię i zorganizował drugą w promieniu strzału armat angielskich. Znaczy to, że zapobiegł rozlezeniu się żołnierzy do domów i zaprzysiągł ich na nowy okres służby.

Na takich kampaniach z wewnętrzną luźnością własnych ludzi zeszedł Washingtonowi czas do wiosny 1776. Żelazna jego wytrwałość musiała przynieść owoce. W marcu Washington "wziął w ręce" swoich zmilitaryzowanych kolonistów i niespodzianym rzutem zdobył Wzgórza Dorchester, dominujące nad portem. Anglikom nic nie zostawało, jak tylko wynieść się z Bostonu. Uczynili to pośpiesznie 17 marca.

Był to pierwszy realny tryumf Washingtona i całej rewolucyi. Uprzedzając następne uderzenie wojsk królewskich, Washington pociągnął do New Yorku, bo Kongres wzywał go do utrzymania tego miasta za każdą cenę. Nie wydawał się krok ten strategicznym naczelnemu wodzowi, posta-

nowił jednak wykonać go lojalnie w miarę możliwości. A przedsięwzięcie groziło zupełnem zniszczeniem rewolucyjnego wojska. Bo Washington siedział w New Yorku, na wąskim pasie ziemi, oblanej z obu stron morzem, a na morzu kontrola zupełna należała do Anglików. Żaden geniusz militarny nie podjąłby takiego ryzyka, nie narażałby się na tak widoczne odcięcie od kontynentu i zniszczenie przez okrętowe armaty. Washington geniuszem nie był. Dlatego wszedł śmiało do New Yorku, wierząc zawsze w nadzwyczajny i szczęśliwy zbieg okoliczności. Znawcy twierdzą, że tylko absolutna nieudolność angielskiego generała Howe ocaliła wojsko Washingtona od niechybnej zagłady. Faktem jest, że pobity przez Anglików na Long Island, Washington potrafił dnia 30 sierpnia 1776 cudem prawdziwym wycofać się z Brooklyna, ewakuować New York i ująć za Haarlem.

Ten niefortunny incydent z wyprawą do New Yorku, który mógł całą rewolucję

pogrzebać, gdyby Anglicy mieli tam zdolniejszego generała, dowodzi, jak nieraz tak zwany "głos ludu" może być mylny i fatalne wywołać następstwa. Reprezentanci ówczesnych Kolonii uważali Washingtona za najgenialniejszego ze współczesnych, a pokładaniem w nim nieograniczonem zaufaniem i wiecznymi komplementami potrafili w nim samym — przynajmniej czasowo — wywołać przecenienie własnych zdolności. Z tych dwóch powodów wynikła powyższa wyprawa. Na szczęście — Washington zdołał otrząsnąć się bardzo szybko z narzucanej mu gwałtem "wielkości" i wrócił do wrodzonej mu samokrytyki. Właśnie dzięki niepowodzeniu i katastrofie tak bezpośrednio w New Yorku grożącej, Washington umiał i chciał uznać, że nie ma militarnego doświadczenia na wielką skalę, że nie urodził się wojennym geniuszem i że sztukę wojowania musi sobie żmudnie i wytrwale przyswajać. Z dziejów wiadomo, że zdobył ją wreszcie. Była to jednak taka miara biegłości, jaką człowiek o

bystrem pojęciu i silnym umyśle potrafi na-
być w każdym zawodzie, jeśli mu się poświę-
ci ze stanowczością woli i z zamięłowaniem.
Washington uczył się strategii przez cały
czas wojny. Pierwsze błędy i usterki, po
spowodowanych niemi niepowodzeniach, sta-
wały się u niego coraz rzadsze, aż wreszcie^o
z końcem rewolucyi osiągnął prawdziwe mi-
strzowstwo i nie znalazł sobie równego wo-
dza ani w angielskich ani w amerykańskich
szeregach.

Po utracie New Yorku Washington co-
fał się, walcząc krok za krokiem. Odparł An-
glików na Wzgórzach Haarlem i potrafił ich
częściowo wstrzymać pod White Plains (28
paźdz. 1776). Lecz rewolucya ponosiła do-
tkliwe ciosy. Obie wybudowane nad Hudso-
nem fortyfikacye, Ft. Washington i Ft. Lee,
musiały się poddać, przyczem we Ft. Wa-
shington Anglicy wzięli do niewoli 3,000 żoł-
nierzy z generałem Greene. (16 listop.) Wa-
shington cofnął się poza Hudson przez New
Jersey. Podczas odwrotu wytrwałość jego

przeszła znowu ogniową próbę. Zniechęcenie i demoralizacja wkradły się w szeregi. Generałowie nie słuchali rozkazów, żołnierze dezertowali całymi kompaniami. W drodze przez New Jersey tysiące ochotników złożyło przysięgę wierności królowi, sprawa rewolucji zdawała się staczać ku przepaści przed potęgą Jerzego III. Ostra krytyka defenzywnej taktyki Washingtona zaczęła się odzywać powszechnie.

Tak złowrogiej sytuacji Washington sprostał w zupełności. Ciągłe niebezpieczeństwo ze strony nieprzyjaciela, tudzież niepewność własnych ludzi, ogromna odpowiedzialność osobista przy rosnącej z dniem każdym niepopularności — wszystko to zamiast osłabić, zestaliło bardziej jeszcze, zahartowało w najwyższym stopniu spiżową wolę Washingtona.

Po przejściu przez Delaware armia amerykańska liczyła zaledwie 3,000 ludzi. Nadludzkim wysiłkiem Washington potrafił utrzymać pod sztandarem tę garść niedobit-

ków, nawet zdołał nowych zwerbować ochotników. Na podniesienie ducha rewolucyi działał zarówno perswazyą i własnym przykładem, jak bezwzględną surowością. Gdy się z tego powodu odezwały sarkania, Washington pisał do Kongresu: "Charakter naszwank narażony, majątek porzucony, nieoszacowane błogosławieństwo wolności w niebezpieczeństwie, życie poświęcone—niech będą mojem wytłumaczeniem."

Tymczasem ten wielki republikanin już gotował Anglikom niespodziankę, aby pomnożyć szanse wolności i charakter własny, czyli opinię oczyścić z małodusznych zarzutów. Były to święta Bożego Narodzenia 1776. W nocy 25 grudnia, wśród nieprzebitych ciemności i gęstej kry, wojsko Washingtona przeprawiło się przez wezbraną rzekę Delaware i jednym marszem 9-cio milowym dotarło do Trenton, gdzie znienacka zaskoczeni najemnicy hescy musieli się poddać. Zagarnął Washington 990 jeńców i wrócił na drugi brzeg, na to tylko, aby wnet

znów przejść rzekę i błyskawiczną klęskę zadać Anglikom pod Princeton (3 stycznia, 1777). Cała sytuacja zmieniła się teraz w opinii kolonistów. O niedawnym fatalnym odwróceniu bądź zapomniano bądź okrzyknięto go nawet za zręczny fortel do zmylenia przeciwnika. Opinia świata całego poszła w tym samym kierunku. W Anglii Walpole upatrywał w Washingtonie połączenie cnót Fabiusza i Kamillusą. Ostatnią kampanię sławiono na dworze rosyjskim, w gabinecie Fryderyka pruskiego, w arystokratycznych kołach Paryża, Madrytu i Wiednia. Zwycięstwa w New Jersey ustaliły wojskową sławę Washingtona, Europa zainteresowała się sprawą rewolucyi i jej nieustrudzonego szampiona, co musiało wnet przynieść Koloniom realną korzyść, w formie pomocy ze strony Francyi. A wiara Trzynastu Kolonii w kierownictwo Washingtona była odtąd niezachwiana pomimo licznych i ciężkich późniejszych zawodów.

Po zwycięstwie pod Princeton nawet

Kongres rozruszał się — przynajmniej czasowo — i dał Washingtonowi władzę prawie dyktatorską w sprawach werbunku, dyscypliny i zaopatrzenia armii. Zniósł przytem Kongres dotychczasowy system trzymiesięcznego zaciągu do wojska, dzięki któremu Washington często tracił żołnierzy przy pierwszym i żmudnem wyćwiczeniu. Teraz służba miała trwać dłużej.

Reformy powyższe zwłaszcza rozciągnięcie władzy Washingtona, prawdopodobnie ocaliły sprawę rewolucyi, gdyż umożliwiły naczelnemu wodzowi przetrzymanie następnych 18 miesięcy, wypełnionych prawie w zupełności niepowodzeniem, przynajmniej o ile to działań samego Washingtona dotyczyło. Przez cały rok 1777 Washington prowadził niefortunną kampanię z armią generała Howe, bądź wymykając mu się całkowicie, bądź nawet częściowe ponosząc klęski (Brandywine Creek, 11. IX. i Germantown, 4. X.), przyczem Philadelphia zabrana została przez Anglików. Dnia 19 grudnia Washington za-

padł stałym obozem pod Valley Forge, a popularność jego znów zaczęła topnieć w oczach krótkowzrocznych ziomków. Mimo wszystko jednak Washington potrafił wykonać plan, na owe czasy jedyny i zbawienny, a to wbrew małoduszności kolonistów i przewadze Anglików zdołał utrzymać w kupie i uchronić przed wytępieniem i dezercją główną siłę rewolucyjną, powierzoną jego dowództwu. Wojsko to było obdarte, wygłodniałe, zdemoralizowane. Że wytrwało pod sztandarem, wyłączną w tem była zasługa stałości, cierpliwości i surowego, a sprawiedliwego i psychologicznie trafnego traktowania żołnierzy przez Washingtona.

W tym czasie zaszedł niezbyt znany epizod z francusko-ajryskim awanturnikiem Conwayem i pośrednio z generałem Gates.

Jak wiadomo, w armii rewolucyjnej służyło sporo cudzoziemskich generałów i wogóle oficerów (z Polaków: Kościuszko, Pułaski, Niemcewicz). Amerykańscy oficerowie bardzo krzywem okiem patrzyli na względy okazywane przez Washingtona tym obcym przybyszom, zwłaszcza na odznaczanie, jakie od niego spotykały Francuza La Fayette, z którym Washington ściśle się

zaprzyjaźnił. Niezadowolenie spotęgowane było wojennymi niepowodzeniami naczelnego wodza. Dochodziło do otwartej zdrady (generał Arnold, 1780 r.) i do różnych konspiracyi. Z niezadowolenia skorzystał wspomniany Irlandczyk Conway i w porozumieniu z kilku wysokimi oficerami i członkami Kongresu uknuł plan usunięcia Washingtona z dowództwa i wyniesienia w jego miejsce generała Gates, który świetnie się odznaczył pod Saratogą, pobiwszy tam dwukrotnie Anglików i wzięwszy do niewoli generała Burgoyne z 5,800 ludźmi (17 paźdz. 1777.) Spisek wydał się jednak i został przez Washingtona łatwo a wielkodusznie i szlachetnie unicestwiony. Świadczy atoli ujemnie o moralnej tężyznie wybitnych ludzi ówczesnych w wojnie rewolucyjnej.

Charakterystycznym dla ówczesnych stosunków jest wyjątek listu Johna Adamsa po zwiedzeniu obozu Washingtona. "Zmęczony tem jestem śmiertelnie — pisze Adams, jeden z największych ludzi owej epo-

ki. — Męczą mnie te wiecznie ujadania między oficerami armii, wysokimi i mniejszymi. Żyją jak pies z kotem. Żrą się między sobą jak buldogi, a o rangi i pensye biją się jak małpy o orzechy.”

W takim środowisku Washington musiał nie tylko żyć, lecz działać, i to owocnie działać, wiedząc nadto o intrygach kongresowych przeciw sobie. Inny ustąpiłby na jego miejscu i z zemsty, dla osobistej satysfakcyi pogrzebałby przez to sprawę. Lecz Washington był ze szlachetniejszego metalu. Niedarmo powiedział, że “chętnie umierałby cał po calu, byle zbawić naród.” I wytrwał na posterunku aż do skutku.

Zima upłynęła, a pierwszym zwiastunem nie tylko wiosny, lecz i zwycięstwa sprawy rewolucyjnej była wiadomość o zawarciu przymierza z Francją. Francuska armada przybyła na wody amerykańskie i sama jej obecność zmusiła Anglików do ewakuacyi Filadelfii. Rozpoczął się fatalny odwrót Anglików przez New Jersey w kierunku New.

Yorku. Pod Monmouth, dnia 28 czerwca 1778, rewolucyjna armia dopadła Anglików i nieuniknione zniszczenie zdawało się grozić wojsku królewskiemu. Atoli ocaliła ich nieudolność, a może nawet zdrada komendanta przednich amerykańskich straży, generała Karola Lee, który wbrew rozkazom Washingtona nakazał odwrót w chwili dla Anglików najkrytyczniejszej. Nadszedł wprawdzie Washington i ostro zgromiwszy gen. Lee uderzył na Anglików, lecz chwila stanowczego zwycięstwa minęła bezpowrotnie. Wojsko królewskie wycofało się po małych stosunkowo stratach do New Yorku. Ten generał Lee był jednym z cudzoziemskich oficerów, lecz nie z owych szlachetnych i zasłużonych rewolucyi postaci, jak La Fayette lub Kościuszko, lecz zbliżony raczej do typu Conwaya. Awanturnik, zrazu w służbie angielskiej wyszkolony na zdolnego żołnierza, awanturował się potem w różnych częściach świata. Służył nawet w Polsce i niemało tam kłopotu narobił swoją pyszałkowatością. W.

GEORGE WASHINGTON

wojnie rewolucyjnej intrygował stale przeciw Washingtonowi, a historia stwierdziła, że postąpienie jego pod Monmouth było wynikiem zdradzieckiego porozumienia się z Anglikami, u których Lee był w niewoli po upadku Fortu Washingtona (w 1776 r.)

Po wymknięciu się Anglików Washington stanął obozem nad rzeką Hudson, między Wzgórzami i miasteczkiem Morristown. Musiał tam stać beczynnienie, gdyż wojenne operacje toczyły się w innych częściach kraju. Szczególnie do południowych kolonii skierowali Anglicy swoje siły, aby podtrzymać tam żywioł lojalny wobec króla, czyli tak zwanych Torysów, tudzież przeszkodzić Francuzom w ich operacjach koło Indyi Zachodnich.

Francuzi zrazu uderzyli na zajmowany przez Anglików Newport, lecz musieli ustąpić. W roku 1779 angielski dowódca Sir Clinton usiłował odciągnąć Washingtona od Hudsonu i w tym celu dokonał najazdu na Connecticut. Dnia 15 lipca tegoż roku dziel-

coną. Małe partyzanckie oddziały Sumtera, Mariona i Morgana usiłowały niepokoić Anglików. Regularnych żołnierzy było tam zaledwie 2,000, pod dowództwem naprzód De Kalba, potem gen. Gatesa. Ten ostatni, wnet po objęciu dowództwa, pokwapił się do bitwy i poniósł fatalną klęskę pod Camden (16 sierpnia, 80). Po tej katastrofie walkę na południu tylko partyzanci, przeważnie drwale z oddziału Mariona podtrzymywali. W grudniu objął dowództwo przysłany przez Washingtona gen. Greene. Zorganizowawszy regularnych i partyzantów, Greene rozpoczął mistrzowską kampanię, polegającą na wiecznem nękaniu przeciwnika, bez przyjęcia walnej bitwy. W kilku potyczkach, choć nie zwycięskich osłabił on tak dokładnie Anglików, że wojsko królewskie częścią cofnęło się do Charlestonu, częścią pod wodzą zdesperowanego niepowodzeniem Cornwallisa wymaszerowało na własną zgubę do Virginii. Greene z łatwością odzyskał kontrolę nad obu Karolinami.

W Virginii Cornwallis pustoszył kraj,

aby terorem zmusić osadników do lojalności. Czuwał tam jednak generał La Fayette, podobnie jak z nad Hudsonu śledził angielskie poruszenia Washington. W ciągłych ekspedycjach karnych wojsko Cornwallisa zapędziło się na półwysep Yorktown. Szczupłe siły La Fayette'a za słabe były do odcięcia Anglików, lecz wytrzymały dotąd, aż Washington, zwiódłszy Clintona co do swych planów, nie nadciągnął z pomocą. Luki w murze odgradzającym Anglików od lądu wypełniło jeszcze 4,000 regularnych Francuzów pod hrabią Rochambeau i 3,000 marynarzy z francuskiej eskadry, która dominowała na morzu pod admirałem De Grasse. Cornwallis miał przeciw sobie siły dwa razy większe, był odcięty od morza i lądu. Po zapamiętałej obronie, po szeregu walk trwających prawie bez przerwy od początku sierpnia, Cornwallis kapitulował dnia 19 października 1781.

Czynne kroki wojenne zakończyły się tem zwycięstwem rewolucjonistów. Pokojowe rokowania doprowadziły do prowizorycznego pokoju z 30 listopada 1782, poczem o-

stateczny traktat podpisany został w Paryżu, 3 września 1783 roku.

Washington zostawał w polu przez cały czas rokowań, aż do 28 grudnia 1783. W tym dniu jawił się przed Kongresem, obradującym w Annapolis, Md., złożył w jego ręce władzę od niego otrzymaną przed ośmiu z górą laty (19 czerwca 1775) i cofnął się w zacisze swego ulubionego Mount Vernon.

Lecz stanowisko Washingtona było już tak wśród Kolonii niezwykle, tak siłą faktów podniesione ponad ogół innych obywateli, choćby najzasłużeńszych, że i bez piastowania wyraźnego urzędu kraj cały patrzył na "ojca ojczyzny," jako na widomą głowę niepodległości i jedności. Późniejszy pietyzm, ten nimb prawie religijny, jakim naród amerykański otoczył swego bohatera, ta — jak zbyt może śmiało nazywa Johnston — "kanonizacya" Washingtona, rozpoczęła się już z chwilą złożenia przezeń dyktatury wojсковей w ręce Kongresu, to znaczy narodu. Ten akt obywatelskiej karności i cnoty za-

imponował ówczesnemu społeczeństwu więcej, niż poprzednie zasługi tego wielkiego człowieka.

Stanowisko Washingtona po ustąpieniu z publicznej widowni, nigdy już ani współcześnie, ani w przyszłości, nie miało znaleźć analogii w dziejach amerykańskich. Washington stał się politycznym elementem indywidualnym i w sobie całkowitym, poza autorytetem Unii, poszczególnych Stanów i całego narodu powszechnie uznanym i szanowanym. W spornych sprawach publicznych opinia Washingtona, zakomunikowana pisemnie lub ustnie któremu z licznych byłego generalissimusa przyjaciół, wystarczała za najsilniejszy argument i kończyła nieodwołalnie dyskusję. Jego ciągła korespondencja z gubernatorami stanów dawała mu niejako prawo ojcowskiego i moralnego zwierzchnictwa nad sprawami kraju.

Stwierdzonem jest, że Jerzy Washington łatwo mógł wówczas otrzymać koronę, gdyby podobna ambicya mogła mieć przy-

stęp do jego wielkiej duszy. Z końcem wojny armia rewolucyjna była słusznie rozgorvczona lekceważącym i niesprawiedliwym traktowaniem jej przez Kongres. Doszło do tego, że zebranie oficerów naznaczono do Newburgha w dwóch celach. Publicznie głośzono, że rozważany ma być projekt, aby wojsko wymaszerowało na zachód, objęło tam w posiadanie niezamieszkałe grunta bezpańskie i ku własnej satysfakcyi zostawiło bezbronnemu Kongresowi dalsze pokojowe z Anglią pertraktacye. Był jednak inny, tajny, a donioślejszy cel zebrania oficerskiego: oto wojsko miało Washingtona ogłosić królem, a zarazem uwolnione od angielskiej władzy Kolonie proklamować niepodległym Królestwem. W liście do swego wodza skierowanym oficerowie wytykali braki republikańskiej formy rządu, wyszczególniali krzywdy, które armię spotykały od Kongresu (który wtedy chciał wojsko rozpuścić bez emerytury, nawet bez wypłaty zaległego żołdu), wreszcie proponowali utworzenie

mieszanego (cywilno - wojskowego) rządu z Washingtonem, jako królem na czele.

Lecz Washington jednym odezwaniem się przeciał te intrygi na zawsze. Jego odpowiedź była stanowcza, nawet pełna oburzenia i gniewu. W bardzo energicznych słowach przedstawił potworność całego planu, zdziwił się, jaki krok w całym jego dotychczasowem postępowaniu mógł kogokolwiek upoważnić do podobnego projektu, wreszcie zagroził odkryciem całej intrygi przed Kongresem na wieczną hańbę spiskowców. Energetyczne stanowisko Washingtona i niezmożony wpływ moralny, jaki na wszystkich wywierał uspokoiły armię, zapewniły jej od Kongresu odpowiednie zaopatrzenie i przez to zapobiegły nieobliczalnej w historii Nowego Świata katastrofie.

Tymczasem politycznie "wyglodzony," bo prawdziwie wielkich ludzi pozbawiony Kongres stawał się słabszy z dniem każdym. Zdawało się, że zemrze przedwcześnie z wyieńczenia. Jego powaga malała do zera, tak

że nawet nie mógł stanom wytłumaczyć tak honorowego i naturalnego obowiązku, jak wypłacenie publicznych długów, zaciągniętych podczas wojny. I stało się, że Kongres był lekceważony w domu, a Ameryka pogardzana w świecie. Obce kraje wyczekiwały lada chwila wiadomości o zupełnem rozprysnięciu się Unii na liczne i słabe kolonie. W obrębie pojedynczych Stanów tłum zdawał się sprawować władzę, legislatury przestały stanowić prawa. Puszczano się na ryzykowne eksperymenty ekonomiczne, każdy stan na własną rękę wydawał papierowe pieniądze, bez powszechnej narodowej gwarancji. Między Stanami wybuchały zacięte, często krwawe spory o granice. Wszystko przeoczyło uwidocznionemu w Deklaracyi Niepodległości faktowi, że połączone Kolonie stanowią "jeden naród."

Widział to wszystko Washington ze swej zacisznej rezydencji w Mount Vernon, bolał nad tem i starał się fatalności zapobiedz. W porozumieniu z innymi dalej pa-

trzącymi mężami doprowadził do skutku dwie konwencye stanowych delegatów celem obmyślenia środków ratunku dla zwichrzonego nieładem kraju. Druga konwencya zebrana w Filadelfii w maju 1787, miała się zająć ustanowieniem trwałego, centralnego rządu. Washington dał się nakłonić do wzięcia udziału w konwencji, jakkolwiek zawsze więcej czuł się żołnierzem, niż mężem stanu. Po zjeździe delegatów Washingtona obrano prezydentem zebrania. Robota szła szybko pod jego kierunkiem. Konstytucya została opracowana i przedłożona narodowi do przyjęcia. Washington użył wszystkich wpływów, zwłaszcza w drodze korespondencyi do wybitnych ludzi we wszystkich stanach, aby zapewnić przyjęcie nowej państwowej ustawy. Skutek uwieńczył dzieło, Konstytucya została przyjęta. Gdy jednak Washingtonowi zaproponowano objęcie prezydentury, skromny ten człowiek stawiał bardzo zdecydowany opór. Dopiero bardzo racjonalny apel Hamiltona, który prawie zbrodnią naz-

wał sprzeciwianie się woli narodu, gdy głos kraju od tego zależy, zdołał przekonać Washingtona.

Jednogłośnie wybrany został Washington prezydentem Republiki na okres 1789-93. Ponownie także jednogłośnie obrany został na 1793-97. A gdy stanowczo odmówił trzeciej kandydatury, mimoto dwóch elektorów jeszcze na niego poraz trzeci głos oddało.

Z jednogłośnych wyborów można było sądzić, że rządy pierwszego prezydenta potoczą się po różach i wawrzynie, wśród powszechnego entuzjazmu i uznania. Stało się jednak wręcz przecinie. Wprawdzie naród, jako ogół bezimienny, nie szczędził mu czci i uwielbienia, lecz polityczne partye zatrwały każdy jaśniejszy dzień jego życia i zapamiętałe chciały niszczyć jego najlepsze usiłowania. Washington skłaniał się osobiście do partyi Federalnej. Gdy jednak partya Republikańska została utworzona w roku 1793, scysya była nieunikniona, bo gabinet koalicyjny, z obu partyi przez prezydenta utworzony, przedstawiał widowisko prawdziwej

walki kogutów. Największe gromy ściągnął na siebie Washington przez swą politykę wobec Anglii. Naprzód, gdy ogłosił neutralność Stanów w wojnie francusko-angielskiej, potem, gdy poparł traktat amerykańsko-angielski Jaya. Okrzyczano go "ojczymem ojczyzny," ogłaszano sfalszowane listy, dowodzące jego rzekomej chęci poddania się Anglikom podczas rewolucyi. Zarzucano mu, że ciągnie z prezydentury więcej dochodów, niżby jego pensya wynosiła; w obskurnych pamfletach przezywano go "Neronem, notorycznym zawodzicielem zaufania i obowiązku (defaulter), nawet pospolitym złodziejem kieszonkowym (!?)." W jednym ze świstków ulotnych napomykano, że gilotyna byłaby dla niego całkiem właściwą.

Podobnie nikezemne ataki nie potrafiły Washingtona sprowadzić z drogi raz wytkniętej, musiały jednak wyczerpać nawet jego cierpliwość i zniechęcić do dalszego służenia za tarczę partyjnych pocisków. Po ukończeniu drugiej prezydentury Washing-

ton kategorycznie odmówił kandydowania po raz trzeci i cofnął się do Mount Vernon nieodwołalnie. Łzy spływały po dostojnych policzkach prezydenta, gdy po raz ostatni przemawiał żegnając się z reprezentantami narodu przy skończeniu urzędowania, lecz decyzja jego była stanowcza.

Powrócił w roku 1797 do spokojnego życia virgińskiego gentlemana — plantatora. Poświęcił się ze szczególnem zamięłowaniem opiece nad niewolnikami i publicznie oświadczył, że żadnego więcej niewolnika kupować nie będzie. Marzył nawet o zniesieniu niewolnictwa w Virginii, lecz skutkiem starości żadnych w tym kierunku nie poczynił już kroków.

W oczekiwaniu otwartej wojny z Francją (1798) Kongres mianował go generalisimusem armii. Nie uchylił się sędziwy patriota od tego obowiązku i podążył na posterunek, choć zaciekle walki Federalistów o stopnie wojskowe napoiły go ostatnią dozą pogardy i zawodu. W pełni militarnych przy-

gotowań zaskoczyła go śmierć po bardzo krótkiej chorobie zapalenia płuc i gardła. Zmarł spokojnie i bez bólu, w rezydencji swej w Mount Vernon, dnia 14 grudnia 1799. Zmarł, jak brzmiała apologia w rezolucyi Johna Marshalla w pięć dni potem w Kongresie, jako "pierwszy w wojnie, pierwszy w pokoju i pierwszy w sercach swych ziomków."

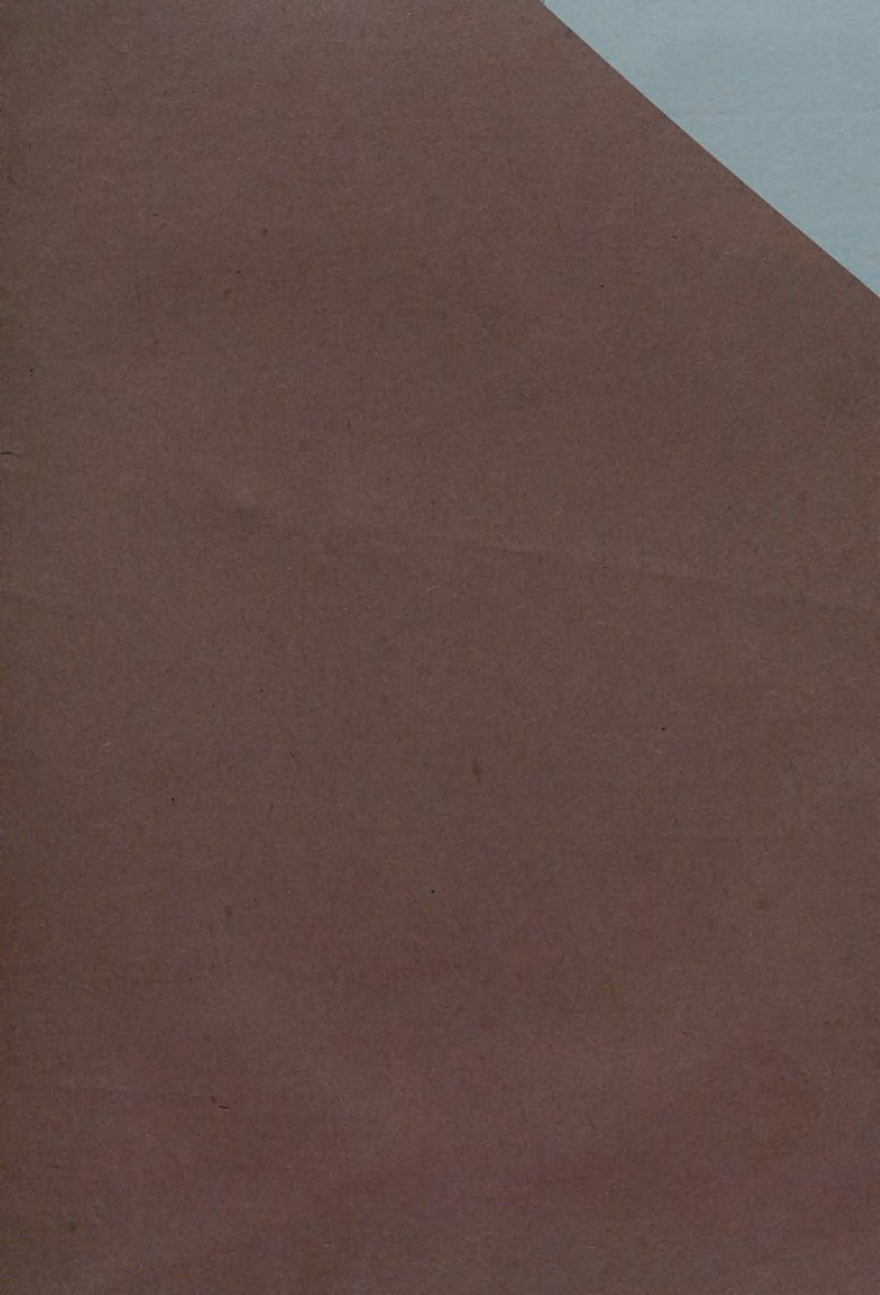
Postać Washingtona uwypukla się najprościej, ale i najbardziej historycznie, posągowo i wiernie z tego krótkiego szkicu jego życia, a raczej wychodzi najplastyczniej z tego tła fatalnych stosunków, czasów i osób, w jakich mu przeznaczonem było zdobywać wolność dla narodu i wielkość dla siebie.

Cóż dodać do tej sylwetki największego Amerykanina? Chyba powtórzyć słowa C. H. Van Tyne'a z jego charakterystyki krótkiej, prawie stenograficznej:

"Gdy potem patrzano wstecz na lata rozpacznego wysiłku, spostrzeżono jasno, że

największym czynnikiem zwycięstwa rewolucyi było osobiste kierownictwo Washingtona. Aby to wytłumaczyć, trzeba stwierdzić, że nie był to jego wielki umysł, bo Franklin miał większy; ani jego rzutkość, energia lub utalentowanie, bo Benedykt Arnold przewyższał go w tych zaletach; ani militarne doświadczenie, gdyż doświadczenie Karola Lee było rozleglejsze; ale była to siła charakteru, która dzień po dniu zdobywała mu miłość żołnierzy i absolutne zaufanie współziomków. Zupełna wolność od niskiej ambicji, jedyne pragnienie służenia dobrze krajowi i bliźnim, wierność, która nie pozwoliła nigdy zazdrości ani pokrzywdzeniu odwieść go od zadania powziętego — oto są wielkie rysy, które dały mu niezrównane i odrębne miejsce wśród bohaterów świata.”





Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000046870



I 768347

XX

POLONIA